

Wakacje z mułłami – cz. 10

12 stycznia 2008

Rano zwiedziliśmy jedyny nie zniszczony przez najazd, afgański pałac szachów w dawnej dzielnicy królewskiej, zwany Pałacem Czterdziestu Kolumn (Czehel Sotun). Stoi w pięknym, pełnym wiekowych drzew, przyszyżonych zieleńców i szpalerów krzewów różanych parku. Zgodnie z perską tradycją najważniejszym elementem budynku jest ogromny prostokątny liwan (loggia) nad wielką sadzawką. Pięknie rzeźbiony i malowany dach wspiera się na 20 smukłych drewnianych kolumnach, odbijających się w gładkiej wodzie basenu, dając w sumie 40, stąd nazwa. Wewnątrz pałacu zachowały się freski ze scenami oficjalnych uroczystości dworskich w sali audiencyjnej i z o wiele bardziej frywolnymi półnagimi tancerkami w prywatnych komnatach. Te ostatnie cudem uniknęły zniszczenia przez fanatyków islamskich podczas rewolucji 1979 roku, dzięki konserwatorom i pracownikom muzeum, którzy zasłoniли je rusztowaniami i plandekami.

Po obejrzeniu pałacu poszliśmy na Internet sprawdzić i wysłać pocztę. Niestety w kawiarni internetowej, mieszczącej się w suterynie było tak zimno, że szybko stamtąd uciekłam na bulwar, zostawiając Krzyśka samego. Kiedy wygrzewałam się do słońca podeszła do mnie jakaś kobieta i od razu zadała kilka standartowych pytań.

Skąd jestem?

Czy mi się podoba w Iranie?

Co widziałam w Isfahan?

Czy lubię mój irański strój?

Gdzie jest mój mąż?

Na pożegnanie podarowała mi długopis, ja dałam jej swój, wymieniliśmy uśmiechy i każda poszła w swoją stronę.

Samolot do Ahwaz mamy o siódmej wieczorem, pokój musimy

opuścić o dwunastej. Po lunchu znieśliśmy bagaże do recepcji, a ponieważ zupełnie nie było się gdzie podziać, pojechaliśmy do herbaciarni na moście, aby jakoś zabić czas. Tam spotkaliśmy trójkę Anglików ze zorganizowanej wycieczki. Choć mieszkają w najdroższym w mieście hotelu i wszędzie są wożeni autokarem z przewodnikiem i tłumaczem, uważają, że ich irańska przygoda to w dużym stopniu nie to, czego oczekiwali. Wbrew pozorom w tym super luksusowym hotelu, który aż dech zapiera swym bogatym wystrojem jak również i liczbą osób stojących przy każdych drzwiach, obsługa jest wyjątkowo nieuprzejma, a oficjalny program tak przeładowany, że ludzie dosłownie padają z nóg.

– No i kto by pomyślał, że mimo wszystko nam jednak jest tutaj lepiej?...

Dzisiaj opuszczamy turystyczne rejony Iranu, gdzie jest trochę obcokrajowców i infrastruktury turystycznej. O rejonie gdzie się wybieramy przewodnik pisze, że owszem są tam ciekawe zabytki, ale o hotelach i innych rzeczach praktycznych dosyć skąpo. Decydując się na zwiedzenie tych obszarów bierzemy na siebie ryzyko, że trudno będzie o przyzwoite spanie i transport.

Na lotnisko przyjeżdżamy taryfą koło szóstej i mamy następną niespodziankę. Trzeba dzielić nasze bagaże i dokumenty, bo są osobne wejścia dla mężczyzn i kobiet. Drzwi zastawiają dwie ciężkie zasłony, jedna za drugą. Gdy za nie weszłam, znalazłam się w małej kabinie, gdzie zostałam obmacana przez jakieś matrony w czerni. Nie wiem czy była to standartowa kontrola wszystkich kobiet, czy też potraktowano mnie jako przypadek specjalny. Po pokonaniu tej pierwszej przeszkody odnaleźliśmy się z mężem w obszernym holu, dziękując niebiosom, że jest tylko jedno wyjście, bo tłum był spory, odlotów w różnych kierunkach kilka, a napisy, zapowiedzi i rozkłady po persku.

Jakoś udało nam się potwierdzić, że przyszedł czas na nasz samolot i weszliśmy w kolejny tor przeszkód. Znowu nas

rozdzielono, znów zasłony, następne matrony w czerni i następne obmacywanie ze sprawdzaniem co mam w majtkach i w staniku. A ja akurat na szyi miałam torebkę z pieniędzmi, sporej grubości, bo przed podróżą wymieniliśmy dwieście dolarów.

– Co to jest? – pyta matrona.

– Pieniądze.

Wybałuszyła oczy, ściągnęła mi ją z szyi, otworzyła i dokładnie sprawdziła, łypiąc na mnie ponurym i zawistnym okiem. Na migi poleciła mi zdjąć buty. Kazała pokazać co jest pod podszewami. Trwało to tak długo, że Krzysiek zaczął się niepokoić, co się ze mną stało. Lot antycznym Boeingiem był na szczęście w miarę komfortowy i niedługi.

AHWAZ

Przylecieliśmy akurat na przepiękny pomarańczowy zachód słońca, typowy dla gorącego klimatu. Po stosunkowo chłodnym Isfahanie, duchota i upał pod czterdzieści stopni były wprost nie do zniesienia. Nie było zupełnie czym oddychać, pot lał się z nas strumieniami, a na dodatek woda do picia akurat nam się skończyła.

Ahwaz to centrum pól naftowych na pustyni, 100 km od Zatoki Perskiej i granicy z Irakiem. Mieszka tu około miliona ludzi. Przewodnik wspomina o dwóch hotelach. Jeden podobno luksusowy, drugi średni. Wzięliśmy taksówkę, polecając zawieźć się do tego średniego. Tymczasem na ulicach absolutne piekło. Setki aut stoi w jednym gigantycznym korku i trąbi na siebie. Według naszych zachodnich norm, wydaje się, że nie ma tutaj żadnych przepisów, a każdy manewr na drodze jest wymuszony na siłę.auta stoją we wszystkich możliwych pozycjach na pasie ruchu. Facet z szóstego rzędu, aby skręcić w lewo, musi precyzyjnie przejechać przez pozostałe pięć, bo nikt go nie wpuści. Znalezienie miejsca do zaparkowania jest prawie niemożliwe, wysiadanie grozi nagłą śmiercią, podobnie jak przechodzenie przez

jezdnię.

– Jak ci ludzie mogą tak żyć ???!!!

Był już późny wieczór kiedy wreszcie dobrnęliśmy do naszego hotelu. Znow typowe formularze do wypełnienia, wymagające podania imienia ojca, skąd się przybyło, dokąd się jedzie, numery wiz, paszporty do kontroli policyjnej. Kiedy wreszcie dowlekliśmy nasze walizki na drugie piętro, z nadzieją na odpoczynek po długim dniu, zastała nas nieprzyjemna niespodzianka. Wydawało się nam, że zostawiamy za sobą piekło ulicy, ale okazało się że jednak nie, bo nasz pokój wychodził akurat na bazar owocowo-warzywny, gdzie sprzedawcy przekrzykując się nawzajem, często przez megafony, zachwalali swój towar. Co gorsza, targ był nocny, czyli otwarty prawie do rana. Dostaliśmy ostatni wolny pokój w hotelu, nic dziwnego, że akurat wychodził na najruchliwsze i najgłośniejsze miejsce w całym mieście. Powinniśmy być w zasadzie szczęśliwi, że mamy się gdzie podziać, ale nie było się tak naprawdę z czego cieszyć. Od ryku silników, klaksonów, wrzasków przekupniów, syren i dzwonków, którymi oznajmiali swą obecność, bezustannego trąbienia aut próbujących się jakoś wydostać z tego chaosu, pękały nam głowy i chwilami wydawało się że powariujemy od tego hałasu.

Na szczęście w łazience była ciepła woda i po złapaniu drugiego oddechu zaczęliśmy zastanawiać się, co robić dalej. Chcieliśmy zobaczyć Czoga Zangbil, elamicki ziggurat z 1500 r. p.n.e., znajdujący się na pustyni, 150 km od Ahwaz. Nie da się tam dojechać publicznym transportem i trzeba wynająć auto z kierowcą. W każdym razie, za żadne skarby nie chcemy zostać w Ahwaz, perspektywa spędzenia kolejnej nocy nad bazarem to koszmar.

W tej części Iranu turystów jest niewiele, hoteli o zachodnim standardzie mało, a o transport trudno, bo na gromadzkie taksówki i przeładowane mikrobusy nie ma co liczyć bez znajomości języka i z bagażami. Poza tym jesteśmy tylko sto km

od granicy z Irakiem, gdzie akurat trwa wojna i lecą bomby.

Krzysiek zaplanował wynająć auto z kierowcą, żeby odwiedzić Czoga Zangbil, a potem pojechać do Szusztar, gdzie jest kilka historycznych mostów i pozostałości młynów wodnych, zbudowanych przez rzymskich jeńców wojennych w czasach partyjskich, przenocować i jechać dalej, do Kurdystanu. Przewodnik nie wspomina o hotelu w Szusztar, natomiast ostrzega, że nie jeżdżą tam autobusy dalekobieżne i dojazd oraz wydostanie się stamtąd są trudne.

Po drodze na bazar zajrzeliśmy do recepcji, żeby zapytać o kierowcę na rano. Jeden z recepcjonistów zaoferował się nas zawieźć, za siedmiu Chomeinich. Trochę sporo, ale było zbyt późno na szukanie czegoś innego. Połaziliśmy po bazarze, zaglądając do straganów, kupiliśmy po garstce pysznych daktyli i orzechów, zjedliśmy dosyć taki sobie obiad w hotelowej restauracji i poszliśmy spać. Rano nasz kierowca załadował nas do zdezelowanego brązowego Paykana i ruszyliśmy w drogę.

Wyjazd z miasta był dość trudny, a dalsza jazda pełna emocji. Nasz szofer mówił kilka słów po angielsku, mniej więcej tyle co my w Farsi, a więc konwersacja była dość trudna. Na domiar złego był chyba po nocnej zmianie i kleiły mu się oczy. Raz nawet zasnął na ułamek sekundy, aż obudzony naszym wrzaskiem w ostatniej chwili uniknął zjazdu pełną prędkością na zwirowe pobocze.

Szosa była przyzwoita, ale pełna ogromnych ciężarówek, jeżdżących w tutejszym stylu, tak że kilkakrotnie byliśmy o włos od czołowego zderzenia.

Po obu stronach gaje palm daktylowych i pola pszenicy, którą, jak powiedział nasz kierowca, zbiera się dwa razy do roku. I jedno i drugie pocięte siecią kanałów nawadniających. Co jakiś czas wioski zabudowane rozwalającymi się zabudowaniami z gliny, bez okien, na gołej ziemi bez śladu zieleni, wśród zwałów śmieci, głównie plastikowych toreb. Obok każdej

uliczki, pełne odpadków rynsztoki, którymi płyną ścieki. Gdzieś nowe domy, z betonu lub pustaków, podciągnięte pod dach, z zardzewiałymi zbrojeniami sterczącymi na wszystkie strony. Kozy pasą się na śmieciowiskach i w rynsztokach, wyjadając co się da. Na obrzeżach wiosek schroniska (trudno nazwać je namiotami) nomadów, sklecone z gałęzi, plastikowej folii, liści palmowych i szmat. Bieda jest tu jednak straszna.

Koniec części dziesiątej

Autorzy: Teresa & Krzysztof

Źródło: [Alternatywa](#)